

G I L L P A U L

# RYWALKI

przełożyła  
Anna Gralak

MANDO 

# Rozdział 1

*Hotel Daniela, Wenecja*  
*3 września 1957*

— **O**chodź ze mną. – Maria o mało się nie przewróciła, gdy gospodyni przyjęcia pociągnęła ją nagląco za łokieć. – Chcę cię przedstawić twoim rodakom: Aristotelisowi i Tinie Onassisom. Oto oni. – Po chwili gospodyni przyjęcia dodała, wskazując ją ręką: – A oto Maria Callas.

Po latach Maria wspominała pozorną zwyczajność tej chwili. Myślała, że człowiek powinien dostawać jakieś ostrzeżenie, gdy pozna kogoś, kto przewróci jego świat do góry nogami i wstrząśnie nim tak gwałtownie, że potem już nic nie będzie takie samo. W mitologii greckiej byłyby to huk grzmotu, trzęsienie ziemi, zaćmienie słońca. W tym wypadku nic takiego nie nastąpiło. Były jedynie uprzejma rozmowa ściszym głosem, kwartet smyczkowy grający Schuberta oraz pobrękiwanie kieliszków z szampanem pod kryształowymi żyrandolami.

Maria oczywiście słyszała wcześniej o Onassisie. W zależności od tego, którą gazetę się czytało, był albo najbogatszym człowiekiem na świecie i czarującym gospodarzem podejmującym gości na swoim jachcie Christina, albo oszustem i piratem na pełnym morzu. Odkryła z zaskoczeniem, że jest od niej niższy. Na zdjęciach zawsze sprawiał wrażenie wysokiego mężczyzny. Rozbawienie, które dostrzegła w jego oczach, oraz sposób, w jaki mocno ujął jej dłoń i pochylił się, by dotknąć jej ustami, od razu jednak jej się spodobały.

– Jestem zaszczycony, że mogę poznać najwspanialszy sopran świata – powiedział. Tak brzmiały pierwsze słowa, które kiedykolwiek do niej skierował.

– Najwyżej jeden z najwspanialszych... – Hiperbole zawsze wprawiały ją w zakłopotanie.

– Jest pani chyba jedyną osobą w tym pomieszczeniu, która umniejsza swoje osiągnięcia – powiedział, przechylając lekko głowę w stronę zgromadzonych gości. Byli tam aktorzy i bywalcy salonów, przedstawiciele rodzin królewskich i garstka polityków, lecz Maria nie zauważyła nikogo ze świata opery, ze środowiska, w którym się zazwyczaj obracała. Księżę i księżna Windsoru brylowali w towarzystwie, nosząc na głowach korony, jakby chcieli zadrwić z tej, której księżę się zrzekł, rezygnując z brytyjskiego tronu. Grace, księżna Monako, przechadzała się z przyklejonym do twarzy słodkim uśmiechem mimo rzucającej się w oczy nieobecności księcia Rainiera, którego poślubiła niespełna rok temu, a Elizabeth Taylor flirtowała przy barze ze śniadym mężczyzną z całą pewnością niebędącym jej mężem.

Maria roześmiała się.

– Zapewniono mnie, że to „elita Europy” – powiedziała, naśladowując środkowozachodni akcent ich gospodyni, która prowadziła rubrykę towarzyską i uwielbiała organizować przyjęcia z udziałem znanych ludzi.

– Oczywiście, zawsze należy wierzyć dziennikarzom – odrzekł z uśmiechem Aristotelis, wzbudzając sympatię Marii.

– Jest pan ojcem Marii? – Usłyszała, jak Tina Onassis zwraca się z tym pytaniem do jej męża, Battisty, który cały czas stał za Marią. Ludzie często brali go za jej ojca, ponieważ był od niej starszy o trzydzieści lat.

– *Suo marito* – odpowiedział z lekkim rozdrażnieniem. Słabo znał angielski, mówił tylko po włosku, więc Tina przeszła na ten język, by z nim pogawędzić, podczas gdy Aristotelis dalej zwracał się do Marii po grecku.

– Wyznaję ze wstydem, że nigdy nie słyszałem, jak pani śpiewa. Nie jestem wielbicielem opery. Zawsze kojarzy mi się z dwoma włoskimi kucharzami wykrzykującymi przepisy na risotto.

Maria się roześmiała.

– Tej opery chyba nie słyszałam. Pamięta pan tytuł?  
– Nie – przyznał z uśmiechem. – Ale gdy Tina zabrała mnie do jakiejś opery w Atenach, zasnąłem w łóżku. Przynajmniej mieli wygodne siedzenia.

– Przekona się pan, że opery są równie zróżnicowane jak... – Szukała właściwego porównania. – Jest pan armatorem, prawda? Równie zróżnicowane jak szlaki morskie.

Skrzywił się.

– Mam nadzieję, że mają w sobie więcej sztuki. Wprawdzie słoń nadepnął mi na ucho, ale byłbym zachwycony, mogąc usłyszeć głos wychwalany przez wszystkich krytyków.

Skromnie wzruszyła ramionami.

– Obawiam się, że nie wszyscy go wychwalają. Już dawno skończyły im się pochwały i teraz przychodzą na moje występy, by szukać czegoś, na co można ponarzekać. Nie chcę ułatwiać im pracy, zawsze więc czuję na scenie olbrzymią presję.

– Stara historia: wynieśli panią na szczyt tylko po to, by panią z niego zepchnąć.

– Też pan to przerabiał? – Wiedziała, że przed trzema laty aresztowano go w Stanach Zjednoczonych w związku z jakąś aferą dotyczącą jego floty handlowej i w prasie pojawiły się niewyraźne zdjęcia przedstawiające go w chwili zdejmowania mu odcisków palców. To musiało być upokarzające.

Przechylił się w jej stronę i poczuła słodki zapach wydzielany prawdopodobnie przez cygaro wystające z jego górnej kieszonki.

– Jest między nami ogromna różnica. Dostanie się tu, gdzie jestem ja, nie wymagało niczego oprócz oślego uporu. Za to pani ma talent dany przez bogów.

– Ja też bardzo ciężko pracuję, panie Onassis. – Mało powiedziane. Maria uczyła się na pamięć librett, ćwiczyła całymi popołudniami, a jeśli wieczorem nie występowała, czytała do późna partytury, leżąc w łóżku. Muzyka była całym jej życiem. Rzadko bywała na takich przyjęciach jak to.

– Mówmy sobie po imieniu. – Dotknął jej ramienia tuż nad łokciem, gdzie kończyła się rękawiczka i zaczynało nagie ciało. – Kiedy zatem będę mógł panią usłyszeć? Proszę zostać moją przewodniczką.

Uśmiechnęła się.

– Dam ci znać, gdy będę miała śpiewać w sali koncertowej ze szczególnie wygodnymi siedzeniami. Może powinieneś przyjść z własną poduszką.

– Umowa stoi – odrzekł, wciąż trzymając dłoń na jej ramieniu.

Flirtował z nią, mimo że tuż obok stał jej mąż. Maria zazwyczaj nie miała czasu dla zalecających się do niej reżyserów i śpiewaków operowych, lecz to była niewinna gra i dobrze się bawiła.

– Tylko czy można ci ufać? – spytała przekornie. – Podobno nie należy wierzyć żeglarzom.

– Przyjaciele mogą mi powierzyć swoje życie, a wrogowie mogą być pewni, że mam typowo grecki apetyt na zemstę, więc przypuszczam, że można mnie nazwać człowiekiem godnym zaufania. – Zauważyła złote plamki w jego oczach. Miał przenikliwe spojrzenie.

– A ja? Myślisz, że mogę ci zaufać? – spytała.

– Jeśli coś ci obiecuję, na pewno dotrzymam słowa – oznajmił z powagą. – Bądź tego pewna.

Te słowa na długo zapadły jej w pamięć.

## Rozdział 2

*Wenecja*  
*4 września 1957*

*M*azajutrz po przyjęciu u Elsy Maria obudziła się i znalazła wsunięty pod drzwi apartamentu liścik z pytaniem, czy nie zechcieliby z Battistą dołączyć do Aristotelisa i Tiny Onassisów, by o pierwszej zjeść razem lancz w Harry's Bar. Przeciągnęła się i spojrzała na połączany zegar na kominku: dochodziła dwunasta. Zazwyczaj wolała spokojnie rozpoczynać dzień wonną kąpielą i leniwym śniadaniem, lecz z jakiegoś powodu Aristotelis wzbudził jej zaciekawienie. Myślała, że najbogatszy człowiek na świecie jest poważny i ma obsesję na punkcie pieniędzy, lecz zamiast tego wydawał się zabawny.

– Battista! – zawołała. Jej mąż czytał gazetę na słonecznym balkonie z widokiem na Canal Grande. – Za godzinę idziemy na lancz.

Harry's Bar był niedaleko, nad wodą, spóźnili się nieznacznie. Maitre d'hôtel w białej marynarce i z czarną muchą poprowadził ich przez restaurację, obok długiego, wypolerowanego baru z drewna, do stolika w głębi sali, gdzie państwo Onassis właśnie czytali menu. Aristotelis zerwał się z miejsca.

– Wspaniale, że mogliście przyjść – przywitał ich po włosku, całując Marię w rękę, ściskając dłoń Battisty i klepiąc go po plecach. – Proszę, usiądźcie. Bellini dla wszystkich? To chyba dobry pomysł, skoro nazwali ten drink na cześć wielkiego kompozytora operowego.

Podano wysokie kieliszki ze specjalnością baru: sokiem z białej brzoskwini zmieszany z prosecco. Drink był tak lekki i aromatyczny, że wydawało się niemożliwe, by zawierał alkohol.

Maria usiadła na ławce obok Tiny Onassis, ładnej tlenionej blondynki z ciemnymi brwiami, która z bliska wyglądała, jakby dopiero niedawno przestała być nastolatką. Najwyraźniej między Onassisami też była spora różnica wieku.

– Jestem zaszczycona, że zechcieliście do nas dołączyć – powiedziała do Marii. – Należę do twoich największych wielbicieli. Aristo nie wspominał? Pierwszy raz usłyszałam cię w *Aidzie* w La Scali w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym i od tej pory przylatuję do Mediolanu na wszystkie premiery z twoim udziałem.

– Naprawdę? – Maria była wzruszona. – To bardzo miłe. Mieszkacie w Atenach?

– Mamy domy na całym świecie: w Atenach, Paryżu, Nicei, Monte Carlo, Montevideo... – Szybko przewróciła oczami, pokpiwając z długości tej listy. – Ale Arista najczęściej można spotkać na pokładzie Christiny. Robi się marudny, jeśli musi spędzić za dużo czasu na lądzie.

Battista mówił Aristotelisowi o środkach, które próbował zdobyć, by nakręcić film z Marią śpiewającą *Medeę*. Maria miała nadzieję, że gospodarz nie poczuje się zobowiązany, by wpłacić datek.

– Od dawna jesteście małżeństwem? – spytała Tinę, spoglądając na nich na przemian.

– Od wieków! – zawołała Tina. – Od jedenastu lat. W dniu naszego ślubu miałam tylko siedemnaście lat, a Ari czterdzieści, więc na pewno wydawałam się okropnie dziecinna. Potem jednak urodziły nam się dzieci, a one sprawiają, że człowiek szybko dojrzewa.

Zrobiła jedną z tych min, które Maria często widywała u matek: miała oznaczać, że są udręczone, lecz tak naprawdę wyrażała dumę. Maria wolałaby dołączyć do rozmowy Aristotelisa i Battisty o przemyśle filmowym, lecz wiedziała, że Tina oczekuje jakiegoś pytania o dzieci, więc spytała:

– W jakim są wieku?

Tina zaczęła o nich opowiadać i myśli Marii popłynęły w inną stronę. Wszyscy zakładali, że nie chciała mieć dzieci, ponieważ wolała poświęcić się karierze, ale to była nieprawda. Pragnęła dziecka,

marzyła o nim, lecz zwyczajnie nie było jej dane. Pewien specjalista wyjaśnił jej, że ma deformację macicy, która utrudnia zajście w ciążę, lecz go nie wyklucza. Maria miała trzydzieści trzy lata i doskonale zdawała sobie sprawę, że jej czas się kończy.

Zamrugła, uświadamiając sobie, że Tina ją o coś spytała.

– Jak poznaliście się z Battistą? – powtórzyła pani Onassis.

Maria się uśmiechnęła.

– Ocalił mnie przed życiem wypełnionym pisaniem na maszynie korespondencji służbowej i doprowadził do miejsca, w którym dziś jestem. – Gdy zaczęła opowiadać swoją historię, Aristotelis i Battista zamilkli, by też się przysłuchiwać.



Marii nie było łatwo przebić się w operze, ponieważ jej głos nie nadawał się do chóru: był zbyt silny, zbyt dojrzały, a na dodatek miał nietypową barwę. Potrzebowała reżyserów gotowych ryzykować, powierzając jej główne role, lecz większość z nich była ostrożna, co zresztą nie powinno dziwić, jeśli wziąć pod uwagę astronomiczny koszt wystawienia opery. Ćwiczyła w Atenach, gdzie spędziła lata wojenne, mieszkając z matką i siostrą, a następnie przeprowadziła się do Nowego Jorku, gdzie jej ojciec działał w branży farmaceutycznej. Po ponad roku zniechęcających przesłuchań wreszcie zdobyła główną rolę: miała zaśpiewać *Giocondę* w Weronie. W wieku dwudziestu trzech lat popłynęła sama do Włoch.

– To był trudny okres – wyznała Onassisom. – Ludzie mieli żal do młodej intruzki, która nawet nie mówiła płynnie po włosku, a mimo to jakimś cudem zdobyła główną rolę. Za kulisami przeciskano się obok mnie, nie mówiąc nawet *buongiorno*, i prawie wszystkie wieczory spędzałam sama.

Pominięła to, że w tamtych czasach była wielka jak wieloryb: ponad dziewięćdziesiąt kilogramów plamistego ciała z dołeczkami,



nieproporcjonalnie duży nos oraz grube okulary w czarnej oprawce, bez których prawie nic nie widziała. Taki wygląd sprawiał, że była nieśmiała i skrępowana, co jeszcze bardziej utrudniało jej nawiązywanie przyjaźni.

– Miałam jednak anioła stróża. – Spojrzała z uśmiechem na Battistę. – Poznałam tego mężczyznę na uroczystej kolacji pierwszego wieczoru w Weronie i wziął mnie pod swoje skrzydła. Był wielbicielem opery, połączyła nas miłość do muzyki.

Battista podjął opowieść.

– Gdy skończył się kontrakt Marii w Weronie, jej ojciec chciał, by wróciła do Nowego Jorku i pracowała jako sekretarka. Uznałem, że byłoby to karygodne marnowanie jej talentu. Zaproponowałem, że będę ją utrzymywał przez kolejne pół roku, a w tym czasie przedstawię ją znajomym reżyserom i postaram się, żeby jej kariera nabrała tempa.

– Cóż za sprytna inwestycja! – zawołał Aristotelis. – Ty zyskałeś piękną żonę, a świat zyskał wspinały talent.

Battista się uśmiechnął.

– Szczęście nam sprzyjało. Pewnego wieczoru, gdy spacerowaliśmy po kolacji, wpadliśmy przypadkiem na Nina Catozza, mojego przyjaciela i reżysera w La Fenice. Właśnie w ostatniej chwili opuściła go sopranistka. Jego produkcja, *Tristan i Izolda* Wagnera, była już rozreklamowana, bilety sprzedane, a on nagle stracił Izoldę. Zaproponowałem mu Marię.

– Nie macie pojęcia, jakie to było przerażające – wtrąciła. – Battista udawał, że już znam tę rolę, a to przecież jedna z najtrudniejszych ról operowych. Za tydzień miałam przyjść na przesłuchanie *a prima vista* przed Tulliem Serafinem, wielkim guru, który prowadził mnie w *Giocondzie*. Na szczęście uznał, że podołam tej roli, i zorganizował dwa miesiące intensywnych ćwiczeń, żeby mnie do niej przygotować.

Wiedziała, że nigdy nie zapomni ślepej paniki, jaką czuła w tych dniach: trudności technicznych związanych z rolą Izoldy, zwiariowanej, pełnej pasji księżniczki irlandzkiej, ogromnej presji towarzyszącej

występom na słynnej scenie, na której miały premierę dzieła Rossiniego i Belliniego: wspaniałej La Fenice z rzędami złotych łóż, malowidłem na suficie przedstawiającym Gracje i bogato zdobione putta, z komfortowymi siedzeniami obitymi czerwonym aksamitem. Wszystko to sprzysięgało się przeciwko niej, sprawiając, że czuła się bezwartościowa.

W wieczór premiery Tullio podarował jej ikonę Madonny – ładną, utrzymaną w barwach kamieni szlachetnych, oprawioną w pozłacaną ramę. Pamiętała, jak drżała, modląc się do współczującego oblicza Matki Świętej, by nie sprawiła wszystkim zawodu.

Widocznie modlitwa została wysłuchana, ponieważ produkcja odniosła oszałamiający sukces. Maria bez okularów nie sięgała wzrokiem dalej niż do łuku proscenium, lecz słyszała, jak wiele osób wstaje z miejsc, nie tylko bijąc brawo, lecz także wznosząc gromkie okrzyki, a potem tuzin razy wywoływano ją z powrotem na scenę, nim w końcu mogła się wycofać do garderoby. Czuła się jak we śnie.

– Żałujcie, że nie widzieliście recenzji – rozpromienił się Battista. – Nigdy czegoś takiego nie czytałem. Krytycy byli zgodni, że na firmamencie zabłysła nowa gwiazda. Potem każdy reżyser we Włoszech pragnął z nią pracować, a Tullio został jej cheerleaderem.

Opowiadali tę historię nie po raz pierwszy. Uśmiechnęła się do niego, dorzucając puentę.

– Po premierze Battista odczekał trzy dni i gdy już był pewny, że inwestycja się opłaci, poprosił mnie o rękę.

Wszyscy się roześmiali. W rzeczywistości jego oświadczyzny wprawiły Marię w osłupienie. W tamtych latach miała tak mało wiary w siebie, że nie mogła uwierzyć, że ktokolwiek mógłby ją zechcieć z innego powodu niż jej głos. Jak mógł myśleć o kochaniu się z kobietą tak ogromną, że wszystkie krzesła były dla niej za małe? Z kobietą mającą udo o obwodzie talii przeciętnej kobiety? W noc poślubną ociągała się ze zdjęciem koszuli nocnej przypominającej namiot, lecz Battista uwodził ją powoli, rozbudzając w niej doznania, które ją zachwyciły. Od samego początku pokochała seks, nie mogła się nim nasycić. Jego

też kochała – był pierwszym człowiekiem, który sprawił, że poczuła się uwielbiana.

Kelnerzy przerwali ich opowieść, przynosząc talerze z różowym carpaccio, specjalnością zakładu, której postanowiła spróbować na usilną prośbę Aristotelisa. Cieszyła się, że złożył zamówienie także w ich imieniu. Bez okularów nie mogłaby przeczytać menu, a była zbyt próżna, by zakładać szkła w miejscu publicznym. Cieniutko pokrojona surowa wołowina była soczysta, delikatna, wyborna. Po niej Aristotelis zamówił krewetki świeżo złowione tego ranka w lagunie i ugrillowane z masłem czosnkowym. Przez całe popołudnie pili musujące drinki Bellini i skubali różne rarytasy, poznając się coraz lepiej. Maria bawiła się jak rzadko kiedy. Od miesiący nie była tak odprężona.

Okna po drugiej stronie baru miały matowe szyby, a przytulne wewnątrz oświetlały kinkiety na ścianach, więc trudno było zgadnąć, która jest godzina. Zdumiała się, gdy spojrzała na odwrócony do góry nogami zegarek Aristotelisa i odkryła, że zbliża się siódma. Do baru zaczęli przychodzić klienci na kolację i zauważyła, jak gospodarz zręcznym ruchem godnym magika wsuwa kelnerowi do ręki zwitek banknotów. Domyśliła się, że to łapówka w zamian za możliwość zatrzymania stolika.

Nagle zalała ją fala zmęczenia.

– Obawiam się, że muszę się powoli zbierać – oznajmiła, mając poczucie winy, że przez cały dzień nie zaśpiewała ani jednej nuty. Powinna była ćwiczyć codziennie.

– Chciałbym ci zadać ostatnie pytanie – powiedział Aristotelis, zbywając machnięciem ręki nieśmiałą propozycję Battisty pokrycia połowy rachunku. – Jesteś teraz na szczycie. Zastanawiam się, jakie masz ambicje na przyszłość. Są jakieś marzenia, których jeszcze nie spełniłaś?

*Chcę mieć dziecko*, pomyślała Maria. To pragnienie było wręcz przytłaczające. W tym towarzystwie nie należało jednak wspominać o tak osobistych sprawach.

– Zawsze marzyłam, żeby być primadonną La Scali. Moim zdaniem to najwspanialsza opera na świecie. Teraz, gdy to marzenie się spełniło, chcę już chyba tylko jak najdłużej śpiewać z najlepszymi muzykami i u najlepszych reżyserów. – Zamilkła na chwilę. – A potem spokojnie przejdę na emeryturę, zaszyję się w jakimś uroczym zakątku i zostanę panią domu. – Roześmiała się, jakby nie do końca brała swoje słowa poważnie. Prawdę mówiąc, trudno jej było wyobrazić sobie przyszłość.

– Nawet twój śmiech brzmi pięknie – powiedział Aristotelis szczerym tonem. Spojrzał jej w oczy i długo nie odwracał wzroku, jakby próbował zajrzeć do jej duszy.

## Rozdział 3

*Newport, Rhode Island  
lato 1956*

Jackie Kennedy kołysała się w fotelu na werandzie, trzymając jedną rękę opartą na nabrzmiałym brzuchu, a w drugiej ściskając szklankę z lodowatą lemoniadą, z której krople wody kapwały na jej bawełnianą sukienkę ciężową. W popielniczce dopalał się papieros, nad którym spiralnie ulatywał dym, a obok leżała otwarta książka. Upał wysuszał wszystko na wiór i wydawał się przytłaczający, wyczuwało się tylko leciutki wietrzyk, lecz i tak wołała siedzieć na zewnątrz, gdzie powietrze było odrobinę świeższe.

Pomyślała o Jacku wypoczywającym na jachcie gdzieś na Morzu Śródziemnym. Pewnie był już opalony jak mały urwis, skakał w szortach po pokładzie, trzymając w ręce piwo, albo pluskał się w turkusowej wodzie. Czuła w sobie twardy supeł złości. Jak mógł polecieć za ocean na wakacje z przyjaciółmi, gdy ona była w zaawansowanej ciąży – zwłaszcza że rok wcześniej poroniła? Czuła rozpacz, a to sprawiało, że niepokoiła się także o tę ciążę.

Mężczyzna, za którego wyszła, był egoistą. Uprzywilejowanym egoistą. Był jednak tak czarujący, tak podniecający, że potrafiła mu wybaczyć najgorsze przewinienia: zapomnienie o urodzinach i rocznicach, odesłanie jej do domu przed końcem podróży poślubnej, ponieważ musiał wziąć udział w jakichś spotkaniach, a z rzadka nawet nutę perfum w jego włosach i ślady szminki na kołnierzyku zostawiane przez kobiety, które zawsze się do niego przymilały. Nawet to.

Obydwoje byli niezależnymi duchami i w ciągu trzyletniego małżeństwa spędzili mnóstwo czasu osobno. Plotkarze z Waszyngtonu

ciągle wieszczęli im rychły rozwód, lecz pod wieloma względami takie życie odpowiadało im obojgu. Jackie lubiła jeździć konno i polować na lisy w posiadłości swojego ojczyma w Wirginii, latać do Londynu na zakupy z Lee, młodszą siostrą mającą fioła na punkcie ubrań, albo wskoczyć czasem do pociągu do Nowego Jorku i wybrać się na wczesny lancz z nieznanym umiaru tatusiem, Black Jackiem Bouvierem, zanim ten za bardzo się ubzdryngoli.

Życie Jacka Kennedy'ego kręciło się wokół polityki: polityka była tlenem, którym oddychał, pożywieniem, którego łaknął. Aktualnie był senatorem z ramienia Demokratów z Massachusetts, jednym z najbliższych młodych talentów w partii, słynącym z twardego stanowiska w kwestii praw obywatelskich, a także w sprawie pokoju na świecie i powstrzymania komunistycznego zagrożenia. W rodzinie Kennedych mówiło się o kandydowaniu w wyborach prezydenckich w 1960 roku – prywatnie Jackie uważała, że to zbyt daleko idący pomysł, lecz i tak podziwiała mężowskie ambicje.

Gdyby tylko trochę bardziej jej potrzebował, byłaby zadowolona. Oczywiście wiedziała, że mąż podziwia jej inteligencję, styl i klasę, lecz jego życie wyglądało bardzo podobnie do tego, jakie wiódł przed ślubem. Jako polityk chciał mieć atrakcyjną katolicką żonę i wyglądało na to, że Jackie spełnia wszystkie jego wymagania. Teraz miała nadzieję, że obdarzy go następnym niezbędnym atrybutem polityka: dwójką zdrowych dzieci.

Zmarszczyła brwi. Kiedy ostatni raz czuła, że dziecko się porusza? Może to biedactwo było równie zmęczone upałem jak ona. Zmieniła pozycję w bujanym fotelu, lekko trącając brzuch otwartą dłońią, lecz nie odnotowała żadnego drgnienia, nawet trzepotania maleńkiej stópki wierzgającej pod skórą. Powoli, trzymając się jedną ręką za plecy, a drugą napierając na podłokietnik, wstała i przeszła się po werandzie. Nic. Podskoczyła, następnie jeszcze raz przesunęła rękami po brzuchu. Nadal nic. Ogarnął ją strach.

– Nelly! – zawołała. – Możesz tu przyjść?

Nelly, gospoia, była matką trojga dzieci i oazą spokoju. Pomacała Jackie po brzuchu i poprosiła, żeby jeszcze kilka razy podskoczyła.

– Małeństwo ucięło sobie drzemkę – powiedziała spokojnym, lecz ostrożnym tonem. – Ale chyba na wszelki wypadek zadzwonię do doktora Brady’ego.



Sparaliżowana strachem Jackie leżała w szpitalnym łóżku, wokół którego zebrali się lekarze i pielęgniarki. Janet Auchincloss, jej matka, siedziała obok naprężona jak struna, gdy lekarz przesuwał stetoskop po brzuchu Jackie. Co się działo? Nie mogła stracić tego dziecka, nie po ośmiu i pół miesiącach. Poronienie w pierwszym trymestrze było wystarczająco ciężkim przeżyciem, ale lekarze zapewniali, że nie należy do rzadkości. Tym razem było jednak inaczej: odkąd dziecko zaczęło się w niej poruszać i reagować, czuła, że je zna.

Obserwowała twarze personelu medycznego. Lekarze i pielęgniarki spoglądali po sobie, przesyłając oczami sygnały, których nie miała przechwycić. Matka nauczyła ją, że damie nie przystoi okazywanie emocji, lecz trudno było je powstrzymać. Jedna z pielęgniarek wzięła ją za rękę i Jackie mocno ją ścisnęła, wdzięczna za ten kontakt z drugim człowiekiem. Okazywanie współczucia nie było mocną stroną jej matki. Organizowanie balów – owszem. Zarządzanie służbą w posiadłościach męża – owszem. Ale współczucie – nigdy.

– Mogę zadzwonić do pani męża? – spytał ktoś. – Powinien tu być.  
*To prawda, powinien.* Jackie zmrużyła oczy.

– Ciągłe podrózuje w interesach – odrzekła Janet. – Cokolwiek chce pan powiedzieć, może pan powiedzieć nam.

Wtedy wyrzekli słowa, których Jackie już się domyślała. Jej dziecko nie żyło. Gdzieś między badaniem sprzed tygodnia a dzisiejszym porankiem jego serduszko przestało bić i nikt nie wiedział dlaczego.

Jackie skupiła się na tanim zegarze wiszącym na ścianie naprzeciwko, obserwując ruch wskazówki sekundowej. Tykanie wydawało się niemożliwie głośne. Odliczała sekundy, czując, że dzięki temu łatwiej jej zdusić emocje, które próbowały ją przytłoczyć.

– Co teraz? – spytała Janet pragmatycznym tonem. Nikt by się nie domyślił, że właśnie poinformowano ją o śmierci wnuka.

Lekarz przejrzał jakieś kartki na podkładce z klipsem.

– Pani Kennedy była umówiona na cesarskie cięcie, więc je przyspieszymy. Możemy operować dziś po południu.

Jackie odwróciła wzrok w stronę okna, gdzie oślepiające słońce połyskiwało wśród liści dębu czerwonego. Co powie Jack? Poleciał na urlop, oczekując, że wróci w samą porę na narodziny swojego pierwszego dziecka, a zamiast tego wróci na pogrzeb. Zawiodła go. Będzie zdruzgotany. W rodzinie Kennedych nie tolerowało się porażek.

– Tak będzie chyba najlepiej – odrzekła Janet, nie pytając Jackie o zdanie.

– Możesz zadzwonić do Bobby'ego? – spytała Jackie, odwracając się do matki. – Będzie wiedział, jak skontaktować się z Jackiem.

Na jachcie był radiotelefon, lecz nie można było połączyć się bezpośrednio. Telefonistka musiała poprosić o okienko czasowe, by doszło do transmisji za pośrednictwem najbliższej stacji marynarki wojennej na lądzie, więc wszystko zależało od aktualnego położenia jachtu. Jackie wyrecytowała z pamięci numer Bobby'ego, a Janet wstała, by zadzwonić, jakby się ucieszyła, że ma coś do roboty. Wciąż nie wypowiedziała choćby jednego słowa pocieszenia, lecz Jackie dobrze ją znała i wiedziała, że nie powinna na to liczyć.



Gdy późnym popołudniem Jackie ocknęła się po operacji, Janet już nie było, a obok łóżka siedział Bobby. Od razu wziął ją za rękę.



– Tak mi przykro – powiedział. – To taka smutna strata dla ciebie i całej rodziny.

Jackie zamknęła oczy, by powstrzymać łzy. Nie chciała, żeby Bobby widział, jak płacze. Był miły, ale na pewno uważał ją za niedojdę. Sam miał już czworo dzieci, a Ethel była w ciąży z piątym. Rodziła jak automat: przyjmowała nasienie i wyskakiwało z niej w pełni ukształtowane, rozwrzeszczane dziecko.

– Zostawiłem wiadomość dla Jacka, żeby zadzwonił do pokoju pielęgniarek, gdy będzie miał łączność – powiedział Bobby. – Pielęgniarka mnie zawoła.

– Dziękuję – szepnęła Jackie. Cieszyła się, że przyszedł i objął nad wszystkim kontrolę.

Bobby był wprawdzie bardziej zdystansowany niż Jack, lecz miał wystarczająco dużo uroku Kennedych, by ludzie wychodzili ze skóry, żeby mu pomóc. Pielęgniarki na pewno trzepotały przy nim rżęsami i wdzięczyły się.

Jackie zastanawiała się, co tak naprawdę myśli o niej Bobby. Zawsze był przyjazny, mimo że Ethel uważała ją za snobkę. Jackie usłyszała przypadkiem, jak na nią narzekała – i to akurat na sposób, w jaki Jackie nakrywała do stołu. Najwyraźniej Ethel nie przywiązywała wagi do tego, czy ostrza noży są zwrócone do wewnątrz czy na zewnątrz, toteż obruszyła się, gdy Jackie je poprawiła. Teraz na pewno piała z zachwytem: to ona była udaną żoną umiejącą produkować jednego dziedzica po drugim.

Jackie wciąż była lekko oszołomiona po narkozie i zapadła w drzemkę, lecz obudziła się, słysząc głos Bobby'ego w korytarzu. W sali krzątała się pielęgniarka, mierząc jej temperaturę i pobrzękując przyrządami na metalowej tacy, więc Jackie usłyszała tylko część rozmowy, lecz to, co dotarło do jej uszu, brzmiało jednoznacznie.

– Jack, musisz wracać... Twoja żona właśnie miała operację. Ona cię potrzebuje... Nie bądź kretynem... Oczywiście, że jest przybita, ale znasz Jackie, nie okazuje tego... Jutro na pewno napiszą o tym w gazetach. Nic na to nie poradzę... Tylko pomyśl, jak to będzie

wyglądało w kontekście politycznym: „Żona traci dziecko, a senator opala się nad Morzem Śródziemnym”. Taki nagłówek chcesz zobaczyć? No to bierz dupę w troki i wracaj...

Jackie osłupiała. Chwyliła się za gardło, czując, że nie może oddychać. Jack nie chciał przerywać urlopu. Oto, jak bardzo mu na niej zależało. Zadrżała. Przed ślubem wszyscy ją ostrzegali, że Jack potrzebuje swobody, a ona była gotowa mu na nią pozwolić, lecz dopiero teraz sobie uświadomiła, jak zimne serce ma jej mąż.

## Rozdział 4

*Waszyngton*  
*28 sierpnia 1956*

Jack wrócił do Waszyngtonu pięć dni po śmierci dziecka. Jackie dochodziła do siebie w domu w Georgetown, gdzie leżała na łóżku pod wentylatorem owiewającym jej nogi chłodnym powietrzem. Lee, jej siostra, przyleciała z Londynu i ubrana w nieskazitelną jedwabną sukienkę w groszki z wiosenno-letniej kolekcji Jeana Patou krzątała się, przynosząc napoje, porządkując książki i balsamy rozrzucone obok łóżka.

Jackie wodziła za nią krytycznym spojrzeniem. Miło z jej strony, że wszystko rzuciła i przyjechała odgrywać pielęgniarkę, ale na miłość boską, kto wkłada nowiuteńką kreację od słynnego projektanta mody, by opiekować się chorą? Lee zawsze, bez względu na okoliczności dążyła do tego, by być tą lepiej ubraną siostrą, i ten jej duch rywalizacji bywał męczący.

– Jak się czujesz, mała? – spytał Jack i z zatroskaną miną pochylił się nad Jackie, żeby ją pocałować. – Nic ci nie jest? Zrobiliśmy przystanek w Paryżu i kupiłem ci perfumy. – Położył na jej kolanach pudełeczko zapakowane w prezentowy papier, ale go nie tknęła. Jak mógł myśleć w takiej chwili o perfumach? – Cześć, Lee – ciągnął. – Miło, że przyjechałaś pomóc.

– Cześć, Jack – odpowiedziała rozpromieniona Lee. – Świetna opalenizna!

– Pogrzeb był w sobotę – wtrąciła Jackie z pokerową miną, próbując wykrzesać z nich odrobinę szacunku w tych ponurych okolicznościach. – To była dziewczynka. Twoja córka. Dałam jej na imię Arabella.

Jack kiwnął głową, nareszcie poważniejąc.

– Ładnie.

– Wszystko zorganizował Bobby – dodała głosem ostrym jak nóż.

– Dobry chłop – powiedział Jack. – Zadzwoń, żeby mu podziękować, ale najpierw muszę zjeść kanapkę. Od śniadania niczego nie miałem w ustach.

– Przyniosę ci – zaproponowała Lee, ruszając w stronę kuchni. – Może być z szynką i musztardą? – Miała bzika na punkcie Jacka, była gotowa spełnić każdą zachciankę ukochanego szwagra.

Gdy zostali sami, Jackie czekała, aż mąż przeprosi, że nie wrócił wcześniej, aż powie, jak jest mu smutno z powodu utraty dziecka, aż będzie mogła się z nim podzielić bólem nagromadzonym w sercu, twardym i nieubłaganym niczym kula, on jednak zaczął opowiadać o jakimś dziennikarzu, którego poznał w samolocie. Obserwowała go, jego włosy rozjaśnione słońcem, skórę ciemną jak orzechy włoskie, i nie mogła się nadziwić energii, jaką emanował. Nie miał pojęcia, co się dzieje w jej głowie. Błatego pojęcia. Może nigdy nie miał.

Skończył opowiadać, a potem usiadł na brzegu łóżka i wziął ją w ramiona.

– Ta historia z Arabellą jest taka smutna – powiedział. – Jeszcze to do mnie nie dotarło. Po tylu miesiącach oczekiwania...

Wtulił twarz w jej ramię i usłyszała stłumione westchnienie – a może to był szloch? Teraz już wydawał się przygnębiony, lecz jeszcze nie odczuwał straty, nie tak jak ona. Jej smutek był mroczny i samotny, zmieszany z gorzką złością na męża, który wypoczywał na urlopie, gdy jego dziecko umierało, a potem zwlekał z powrotem do domu.

Wkrótce się odsunął, ulotna chwila dobiegła końca i Jackie zobaczyła, jak jego umysł skupia się na następnej sprawie do załatwienia.

– Cieszę się, że jest z tobą Lee. Miło z jej strony, że przyjechała. – Spojrzał na zegarek. – Miałabyś coś przeciwko, gdybym zajrzał dzisiaj do biura? Tylko żeby sprawdzić, czy nie ma jakichś wiadomości.

To, że taki pomysł w ogóle przyszedł mu do głowy, tak zszokowało Jackie, że aż zaniemówiła. Nie afiszowała się ze swoimi uczuciami, ale

z pewnością wiedział, jaka jest zdruzgotana i jak bardzo go potrzebuje, prawda? Kilkoro drzwi dalej był pięknie urządzony pokój dziecienny, lecz brakowało dziecka, które mogłoby w nim zamieszkać.

– To nie zajmie dużo czasu – obiecał, wstając. – Możemy zjeść razem kolację.

Problem polegał na tym, że wyszła za mężczyznę przypominającego górę lodową. Lodowiec. Czy w głębi serca przejmował się czymkolwiek oprócz polityki i władzy? Trudno było zgadnąć.

Po wyjściu Jacka wstała z łóżka, zbywając protesty pokojówki machnięciem ręki. Zostawił na podłodze walizkę i usiadła obok niej, wydając zduszony okrzyk bólu, gdy poczuła szarpnięcie w okolicach szwów. Nie wiedziała, co spodziewała się znaleźć, gdy grzebała w jego zapiaszczonych kąpielówkach, koszulkach sportowych i stęchłych ręcznikach, lecz czuła, że jest coś, o czym Jack jej nie mówi.

I nagle to znalazła: gdy podniosła egzemplarz powieści Saula Bellowa, ze środka wypadło polaroidowe zdjęcie. Na kolanach Jacka siedziała dziewczyna z prawie białymi włosami, ubrana w skąpe jaskraworóżowe bikini. Wyglądała na Skandynawkę, miała wysokie czoło, roześmiane oczy i szczupłą figurę.

Jackie poczuła mdłości. Więc to tym się zajmował, gdy umierało ich dziecko. Trzymając zdjęcie między kciukiem a palcem wskazującym, jakby było czymś skażone, wstała, poczłapała z powrotem do łóżka i wrzuciła fotkę do swojej torebki.

Co powinna zrobić? Komu mogłaby się zwierzyć? Raczej nie Lee, która na pewno usprawiedliwiłaby szwagra. I z pewnością nie matce. Był tylko jeden człowiek, do którego mogła się zwrócić. Nie mógł odwiedzić jej w szpitalu, lecz zamierzała się z nim spotkać na lanczu w Nowym Jorku, gdy tylko lekarze orzekną, że może już podróżować.



Black Jack Bouvier przyglądał się zdjęciu przez kilka minut. Siedzieli przy stoliku w rogu spokojnej włoskiej restauracji w zachodnim Midtown, a w koszyku z rafii między nimi tkwiła butelka fioletowego chianti.

– Na pewno ma z nią romans, prawda? – spytała w końcu Jackie. Black Jack przechylił głowę w bok.

– Stawiałbym raczej na wakacyjną przygodę. To chyba bardziej w stylu takiej dziewczyny.

– Jak mógł mi to zrobić? Jak mógł to zrobić naszemu dziecku? – Jackie poczuła szczypanie łez i gdy popłynęły, nie potrafiła ich powstrzymać. Ojciec podał jej pogniecioną białą chusteczkę wprawnym gestem mężczyzny, który często ma do czynienia z płaczącymi kobietami.

– Skarbie, musisz odróżniać jedno od drugiego. Gdy Jack szedł do łóżka z tą kobietą, nie wiedział, że stracisz dziecko. To dwie odrębne sprawy. Smutne, że wasze dziecko umarło, ale to nie jego wina. Wychodząc za niego, wiedziałas, że jest kobieciarzem. – Łzy cicho spływały po jej policzkach, ojciec wyciągnął rękę, by pogłaskać ją po przedramieniu.

Wytarła oczy.

– Wiedziałaam, że przed ślubem spotykał się z innymi dziewczynami, ale myślałam, że po zaręczynach przestanie. Czy byłam naiwna?

Obserwowała jego reakcję, wiedząc, że Black Jack też miał przyjaciółki, gdy jeszcze był mężem jej matki. Pamiętała, jak pewnej soboty przyszedł w towarzystwie ładnej brunetki, by obejrzyć występ Jackie w zawodach konnych. Miała wtedy tylko jakieś dziewięć lat, ale zauważyła, jak wymieniają znaczące spojrzenia, widziała, jak dłoń taty muska kolano tej pani i w okamgnieniu zyskała wgląd w całkiem nowy dorosły świat. Powinna była się domyślić, że ojciec będzie bronił Jacka. Byli ulepieni z tej samej gliny.

Różnica polegała na tym, że o dziewczyny Black Jacka nigdy nie była zazdrosna. Nadskakiwały jej i Lee, pozwalały im jeść lody

i popcorn oraz nigdy nie beształy ich tak jak matka. Jeśli zaś chodziło o ojca, nie miała cienia wątpliwości, że była jego ulubienicą, więc nie miała powodu, by czuć się niepewnie. Lee również kochał – tyle że nie aż tak mocno.

– Niektórzy mężczyźni mają wyjątkowo duże potrzeby seksualne – odrzekł. – Jedna kobieta im nie wystarcza.

– Tato! – Zarumieniła się i przyłożyła dłonie do mokrych policzków.

– Jack cię nie zdradza. On po prostu musi to robić, dla niego to fizyczny akt w rodzaju mycia zębów albo golenia się. Ani trochę nie umniejsza to jego miłości do ciebie. I założę się, że to wszystko to tylko przelotne kontakty, na pewno nie będzie ryzykował trzymania kochanki.

Taka myśl nawet nie przysła Jackie do głowy. Dobry Boże, miała nadzieję, że Jack by tego nie zrobił.

– Ale czy naprawdę chcesz rozwodu? – ciągnął Black Jack. – Pomyśl, ile bólu wywołał mój rozwód z mamą.

Na rozwód rodziców Jackie zanosilo się od dawna: najpierw tata się wyprowadził, a ona i Lee usłyszały, że ma to coś wspólnego z jego pracą. Było im to nawet na rękę, ponieważ nie musiały więcej tulić się do siebie nocą w łóżku, słuchając, jak rodzice krzyczą na siebie nawzajem. Matka, zawsze skora do wymierzania policzków, stała się jeszcze surowsza po odejściu Black Jacka, który nie mógł jej dłużej od tego powstrzymywać. Dobre maniere były sprawą najwyższej wagi. Gdy Janet znajdowała się w pobliżu, należało się prezentować od najlepszej strony.

Jackie była nastolatką, gdy matka oznajmiła, że ponownie wychodzi za mąż, tym razem za Hugh Auchinclossa, spadkobiercę Standard Oil. Hughdie, bo tak mówiono na niego w gronie najbliższych, był znacznie bogatszy od Black Jacka, miał posiadłości w Wirginii i na Rhode Island, a także apartament przy Park Avenue. Ich standard życia wskoczył na zupełnie nowy poziom zamożności, z dziesiątkami służących w każdym z domów, z własnymi stajniami, nauką w najlepszych szkołach oraz hojnym budżetem na ubrania. Jack i Lee

uwielbiały modne ciuchy i odtąd, kiedy chodziły razem po sklepach po przejrzeniu „Vogue’a” czy „Harper’s Bazaar”, mogły sobie pozwolić na zakup upragnionych strojów. Bez końca dyskutowały o nowych kolekcjach, najmodniejszej długości spódnic i kolorach oraz o swoim zamiłowaniu do wszystkiego, co francuskie. Małżeństwo matki oznaczało jednak, że rzadziej widywały się z ojcem, ponieważ on wciąż mieszkał w Nowym Jorku. Jackie była już wtedy wystarczająco dorosła, by wiedzieć, że Black Jack za dużo pije, i martwiła się o niego. Wciąż się o niego martwiła.

– Rozwód przekreśli karierę Jacka – powiedział ojciec, gdy jedli cacciatore z kurczakiem, po czym pociągnął tęgi łyk wina. – Katolikowi już i tak trudno wygrać w wyborach, bo protestanci są do niego nieprzychylnie nastawieni, ale rozwiedziony katolik nie zdobędzie nawet głosów katolików.

– Powinien był wcześniej o tym pomyśleć – odparła Jackie, spoglądając w kompaktowe lusterko, by wytrzeć smugi tuszu do rzęs. Nie chciała rozwodu. Chciała Jacka. Ale chciała go więcej. Chciała, żeby porozmawiali o dziecku, które stracili. Wolałaby, żeby przy niej był, gdy dowiedziała się o śmierci Arabelli. I żeby jej nie zdradzał. Czy prosiła o zbyt wiele?

– Wznies się ponad to i zachowaj godność – doradził jej Black Jack, przechylając głowę w stronę zdjęcia. – Dopilnuj, żeby okazywał ci szacunek należny żonie. Żadnego cudzołożenia w twoim domu i żadnego paradowania z innymi kobietami pod twoim nosem. Wyznacz granice. Ale zostań mężatką, skarbie. To moja najlepsza rada.

Wracając pociągiem do Waszyngtonu, Jackie zastanawiała się, czy inne żony też się na to godzą. W powieściach i sztukach wiarołomnych mężów zawsze spotykała zasłużona kara, ale być może w prawdziwym życiu wyglądało to inaczej. Dlaczego wybrała takiego mężczyznę jak Jack? Czy między innymi dlatego, że przypominał jej niepozabawionego wad, lecz mimo to uroczonego ojca?

Patrząc wstecz, jedynym okresem ich małżeństwa, w którym na pewno był jej wierny, był ten po jego operacji kręgosłupa w 1954 roku,



gdy Jack przez kilka miesięcy nie wstawał z łóżka. Jackie była wtedy równie dobrą żoną jak teraz: zapraszała gości, żeby mógł się rozerwać, czytała mu artykuły w magazynach, karmiła ulubionymi potrawami, wynajdywała sposoby, by mogli się kochać, nie nadwyrażając jego szwów.

Jednak gdy tylko wrócił do zdrowia, znowu był zajęty. Po pracy wpadał na chwilę do domu, żeby wziąć prysznic i się przebrać, a potem pędził na kolejne spotkania. Czy to naprawdę były „spotkania”, czy tylko tak się eufemistycznie nazywały? Czy niedaleko ich domu w Waszyngtonie trzymał kochankę?

Musiała dokonać wyboru: mogła zrobić tak, jak radził jej ojciec, i wznieść się ponad to; mogła zmienić się w detektywa i konfrontować się z Jackiem za każdym razem, gdy przyłapie go na zdradzie; albo mogła zażądać rozwodu. Nawet gdyby nie zdecydowała się na tę ostatnią możliwość, wiedziała, że już sam pomysł by nim wstrząsnął. Jego przyszłość w polityce zależała od stabilnego małżeństwa.

Wiedziała, co powiedziałaaby jej matka: „Nie pierz publicznie swoich brudów”. Jack był jej to jednak winien. Jeśli chciał dalej z nią być, musiał bardzo zmienić swoje postępowanie.

## Rozdział 5

*Mediolan*  
*grudzień 1957*

**W** tygodniu przed świętami Bożego Narodzenia w willi Marii w Mediolanie zadzwonił telefon, a gdy podniosła słuchawkę, usłyszała głos Aristotelisa. Widocznie Battista dał mu ich prywatny numer.

– Prognozują bezwietrzną pogodę, więc planujemy sylwestrowe przyjęcie na Christinie. Zastanawiałem się, czy mielibyście ochotę wpaść. Mógłbym przysłać po was samolot.

Rozbawiła ją ta ostentacja. Niewiele zaproszeń na przyjęcia obejmowało taką ekstrawagancję!

– Obawiam się, że nie mogę. Drugiego stycznia śpiewam w Rzymie, a na widowni będzie prezydent Włoch. Nie mogę zawieść takiej publiczności.

– Oddałbym wam do dyspozycji samolot i mogłabyś wrócić pierwszego – nalegał.

– Dziękuję – powiedziała – ale to nie działa w ten sposób. Do wielkich koncertów muszę się przygotować. Przez kilka dni albo ćwiczę, albo oszczędzam głos.

– Co za nudy! – zawołał. – Byłbym poirytowany, gdyby praca uniemożliwiała mi dobrą zabawę.

– Nigdy nie uważałam śpiewania za pracę – powiedziała, po czym na chwilę zamilkła, szukając słów, by wyrazić swoje myśli i nie zabrzmieć przy tym pretensjonalnie. – To największe źródło radości w moim życiu. Gdy pochłaniają mnie przygotowania do występu, jest to tak absorbujące i daje mi tak wielkie spełnienie, że nie potrafię myśleć o niczym innym.

– Czyli to przypomina seks? – odrzekł, a ona zarumieniła się, zadowolona, że Aristotelis jej nie widzi.

– Przypuszczam, że są pewne podobieństwa. – Zachichotała nerwowo. Nie przywykła do tego, by rozmawiać z kimkolwiek o seksie, nawet z mężem. – To tak, jakby podczas śpiewania coś przejmowało nade mną kontrolę, jakaś boska energia, siła twórcza, nazwij to, jak chcesz, i to coś przepęlnia mnie od stóp do głów... – Zamilkła zakłopotana. – Teraz będziesz się ze mnie śmiał!

– Nigdy by mi się to nie śniło – powiedział cicho. – To jasne, że zostałaś stworzona do śpiewania, i cieszę się, że czerpiesz z tego tyle przyjemności. Jesteś szczęściarą.

– To prawda – zgodziła się. Nie przyznała mu się, że brakuje jej pewności siebie, że jest przesądna i boi się, że jeśli zmieni któryś ze swoich rytuałów, szczęście ją opuści. Zawsze robiła taką samą rozgrzewkę, modliła się do ikony Madonny, żegnała się trzy razy, a potem wchodziła na scenę, zaczynając od prawej nogi. Nigdy od lewej. – Ale wszystko wskazuje na to, że ty urodziłeś się z talentem do interesów. Na pewno czerpiesz przyjemność, patrząc na napływ pieniędzy po nowej transakcji.

– Nie chodzi mi o pieniądze – powiedział. – Ja uwielbiam tę grę. Najprościej wytłumaczyć to tak, że nie znoszę przegrywać, więc jeśli się w coś angażuję, zawsze staram się dostać to, czego chcę.

Jego słowa zawisły między nimi, wydawały się naładowane znaczeniem.

Pierwsza odezwała się Maria.

– Przykro mi, że nie będziemy na twoim przyjęciu. Może innym razem.

– Pamiętasz, że miałas mi powiedzieć, kiedy będę mógł przyjechać i posłuchać, jak śpiewasz?

– Pamiętam. – Znowu się roześmiała. Nastąpiła chwila krępującej ciszy, a potem Maria dodała: – Pozdrów ode mnie Tinę. – Odłożyła słuchawkę.

Postanowiła, że nie wspomni Battiście o tej rozmowie. Bardzo chciał się zaprzyjaźnić z Onassisem. Lubił się obracać wśród wielkich

bogaczy, choć ona zawsze czuła się przy nich lekko skrępowana, jakby potrafili wyczuć, że nie jest jedną z nich. Wynajmowane mieszkanie na Washington Heights na Manhattanie, gdzie dorastała razem ze swoimi greckimi rodzicami i starszą siostrą, było dość wygodne, ale nigdy nie zadowalało matki. „Przywykłam do lepszego życia – narzekała nieustannie Evangelia. – Nie powinnam była wychodzić za mężczyznę z niższej warstwy społecznej. Co mi strzeliło do głowy?”. Maria, owoc tego „mezaliansu”, wciąż była świadoma swojego miejsca w systemie klasowym, mimo że sukces już dawno pomógł jej w awansie społecznym.



Niebo nad Rzymem było zachmurzone, a gdy przybyli do tego miasta 27 grudnia, nad Tybrem wiał mokry, przenikliwy wiatr. Maria i Battista zatrzymali się w hotelu Quirinale, połączonym przejściem z Teatro dell’Opera. Dla Marii oznaczało to możliwość chronienia strun głosowych przed chłodem na ulicy. Gdy zjawiała się na pierwszej próbie, okazało się jednak, że w sali koncertowej jest zimno jak w grobie.

– Mogę prosić o włączenie ogrzewania? – spytała. – *Presto!*

Asystentka inspicjenta obiecała, że się tym zajmie, ale zanim wybiegła, siarczyście kichnęła. Maria szybko naciągnęła szal na twarz. Nie mogła ryzykować, że złapie przeziębienie zaledwie kilka dni przed koncertem.

Miała śpiewać w *Normie*, wielkiej tragedii Belliniego. Rola była trudna, lecz Maria ją uwielbiała. Pasowała do jej głosu, była pełna wyzwania technicznych i koloratury. Na próbach przeważnie śpiewała na całe gardło, by czerpać czystą przyjemność z harmonijnej pracy mięśni wytwarzających tak wspaniałą muzykę. Akustyka w sali była oczywiście doskonała, a orkiestra pierwszorzędną. W takich chwilach Maria zapominała o całym świecie. To dlatego znosiła tę całą presję i krytykę – ponieważ na końcu czekała na nią fenomenalna nagroda.

W sylwestra, cztery dni po przyjeździe, dołączyli do kilkorga przyjaciół na imprezie w klubie Circolo degli Scacchi. Maria pozwoliła sobie na mały kieliszek szampana, wznosząc toast o północy, lecz wypła tylko odrobinę. Po godzinie wrócili do hotelu.

- Czego byś chciał w 1958 roku? – spytała Battistę w taksówce.
- Chcę wycisnąć więcej pieniędzy z La Scali, gdy będziemy rene-gocjowali twój kontrakt – powiedział. – Kupili cię zbyt tanio.

Nie spytał, czego chce Maria, ale wiedział. Nigdy nie robiła z tego tajemnicy. Pragnęła dziecka.



Jako śpiewaczka Maria musiała bardzo uważnie obserwować stan swojego zdrowia. Przypuszczała, że podobnie jest w wypadku sportowców i każdego, kto ćwiczy ciało z myślą o występach. Gdy zatem obudziła się rankiem 1 stycznia, wiedziała, że z jej gardłem dzieje się coś złego: było nieco ściśnięte, czuła lekkie drapanie. Trąciła Battistę łokciem i pokazała mu na migi, żeby przyniósł inhalator, po czym napisała w notesie, który trzymała obok łóżka, by wezwał laryngologa.

Wdychając parę przez maskę, słuchała, jak Battista wybiera numer, i czuła coraz większy niepokój. Nikt nie pracował w Nowy Rok. Przypomniała jej się dziewczyna, która kichnęła na nią pierwszego dnia prób, przed trzema dniami – akurat tyle trwa okres inkubacji w razie przeziębienia albo grypy.

Domyśliła się, że Battista zadzwonił też do dyrektora opery.

- Mam nadzieję, że ma pan dublerkę – powiedział – bo możliwe, że Maria nie będzie w stanie jutro zaśpiewać. – Nastąpiła długa cisza, po czym Battista odparował: – Tak czy inaczej, jeśli lekarz zabroni jej śpiewać, nie zaśpiewa. Nie może ryzykować, że zniszczy sobie struny głosowe.

Maria złapała się za gardło. Nie mogła ich wszystkich zawieść. *Boże, proszę, tylko nie to.*

Specjalista, który zjawił się po południu, przepłukał jej gardło i dał spray przeciwwzapalny. Przez cały dzień unikała mówienia, komunikując się za pomocą notesika, sącząc wodę o temperaturze pokojowej i jedząc wyłącznie rosół. Żadnego mięsa, żadnego nabiału, żadnych pokarmów stałych.

Nazajutrz rano zaraz po przebudzeniu ostrożnie przełknęła ślinę i poczuła, że ucisk w gardle trochę zelżał. Mimo to przez cały dzień oszczędzała głos. Godzinę przed podniesieniem kurtyny lekarz orzekł, że może wystąpić.

Zrobiła spokojną rozgrzewkę, bojąc się, żeby nie przeszarżować.

– Proszę, daj mi dzisiaj dobry głos – modliła się do swojej Madonny. Święta Dziewica odpowiedziała jej dobrotliwym uśmiechem.

W pierwszych scenach trafiała w dźwięki, lecz nie mogła wydobyć z nich za wiele mocy. Mięśnie nie reagowały. Podczas arii *Casta Diva*, zawierającej przeskok ze środkowego F do wysokiego C oraz długie, nieprzerwane dźwięki, czuła, jak jej głos słabnie i wysokie dźwięki tracą stabilność. Jej głos wisiał na włosku. To był koszmar, lecz co mogła poradzić? Nie pozostawało jej nic innego, jak tylko przeć dalej. Po jednej szczególnie chybotliwej frazie ktoś na widowni zabuczał i Maria się wzdrygnęła. Rozległo się szuranie nóg. Ludzie się niecierpliwi.

Potem poczuła, jak rozchwianie wdziera się także do jej niższego rejestru i na widowni rozległy się głośniejsze pomruki niezadowolenia.

– Wracaj do Mediolanu! – zawołał ktoś.

Nie mogła mieć do nich pretensji. Zapłacili fortunę za bilety i nie dostawali tego, na co liczyli.

Gdy w czasie przerwy niepewnym krokiem zeszła ze sceny, wiedziała, że nie może ponownie na nią wejść. Czuła, jak płonie jej czoło, a gardło miała tak spuchnięte, że prawie się zamknęło.

– Musi pan położyć ją do łóżka – powiedział lekarz do Battisty, zmierzyszy Marii temperaturę.

Dyrektor opery przyszedł się wyklócać: groził, że jeśli występ zostanie odwołany, sprawa skończy się w sądzie.

Battista nazwał go idiotą, który nie zaangażował dublerki, po czym poprowadził Marię przejściem do hotelu. Chciała przeprosić i spróbować wyjaśnić sytuację, lecz była tak osłabiona, że z trudem trzymała się na nogach.

Nazajutrz rano usłyszała, jak Battista prycha i mruczy z niezadowolaniem, przeglądając gazety, które zostawiono za drzwiami ich apartamentu. Nagłówki były miażdżące: „Milion lirów za jeden koszmarny akt” – głosił jeden z nich. Pod innym widniało zdjęcie Marii pijącej szampana w tym przeklętym klubie nocnym. Nie zauważyła fotografa, widocznie pstryknął je w zamieszaniu, jakie zapanowało tuż po północy. Autor artykułu twierdził, że to „imprezowanie” zniszczyło Marii głos. *Scandalo!, Disgrazia!, Insulta!* – krzyczano zgodnie.

Ten publiczny atak był rozwścieczający i głęboko niesprawiedliwy. W całym 1957 roku Maria występowała sześćdziesiąt siedem razy i przełożyła tylko jeden koncert – w San Francisco, także za radą lekarza. Oskarżono ją wprawdzie o odwołanie koncertu w Wiedniu, lecz tak naprawdę nie odbył się dlatego, że negocjacje w sprawie jej kontraktu utknęły w martwym punkcie. Miała lepsze statystyki niż inni śpiewacy operowi, a mimo to prasa uparcie portretowała ją jako rozpieszczoną diwę, która bez ostrzeżenia porzuca produkcję. Media stworzyły z niej wiecznie niezadowoloną personę i trzymały się swojej wersji, dlatego gdy przeziębila się w Rzymie, nie okazano jej cienia współczucia. Nie, po prostu Maria Callas stroiła fochy – znowu. Oskarżano ją, że piła szampana i bawiła się do świtu, choć wcale tak nie było. Zarzucano jej egoizm, niewdzięczność i haniebne zachowanie. Przypominało jej to litanie narzekań, którą matka obrzucała ją w dzieciństwie – „Głupia, brzydka, nic niewarta dziewczucha” – i wywoływało podobne poczucie braku wartości.

Gdy leżała z kompresem wokół szyi w łóżku w hotelu Quirinale, przyszedł telegram. Natychmiast go otworzyła.

„Z przykrością dowiedziałem się o Twojej chorobie – brzmiał początek. – Proszę, daj znać, jak mogę pomóc. Przysłać Ci swojego osobistego lekarza? Prywatny samolot, który zabierze Cię w jakieś

słoneczne miejsce? A może płatnego zabójcę, który dokona zamachu na pozbawionych szacunku dziennikarzy? Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem. Aristo”.

Uśmiechnęła się. Chętnie skorzystałaby ze wszystkich trzech ofert. Zamiast tego zamierzała jednak zaszyć się w hotelu, wrócić do zdrowia, a potem pracować jeszcze ciężiej niż dotąd, przygotowując się do koncertów zaplanowanych na najbliższy rok – między innymi do tego, który już za miesiąc miał się odbyć w nowojorskiej Metropolitan Opera.